

Teatr

Kłeska Amerykanina w Studio

Nieszczęścia krążą po teatrach. Tym razem nie ominęły Teatru Studio. Teatr Jerzego Grzegorzewskiego nigdy zapewne nie był najbardziej uczęszczany przez „masową” publiczność, ale za to był to jeden z tych teatrów, na który zawsze można było liczyć, jako na miejsce, w którym panuje jeszcze prawdziwa sztuka. Tym razem stało się inaczej...

Pomysł wyjściowy był nawet niezły. Jeśli sąsiedzi z przeciwległego skrzydła Pałacu Kultury czyli „Metro” z Bataxu planują podbić Broodway, to dlaczego by Gershwinowie nie mogli podbić Pałacu Kultury. Tym bardziej że Gershwin, choć u nas znany i popularny, rzeczywiście nie doczekał się wartościowej realizacji w teatrze. Ale na tych zamiarach, niestety, wszystko co dobre się kończy.

„Amerykanin w Warszawie” jest przedstawieniem kompletnie nieudanym. Z bardzo wielu powodów. Od banalnego scenariusza, usprawiedliwiającego zaśpiewanie kolejnych piosenek poczynając, przez całkowicie amatorską reżyserię, po dużą nieporadność i niepewność wykonawczą. Michael Hackett musi mieć sporą siłę perswazji, skoro dwóch poważnych dyrektorów: najpierw Maciej Prus, a teraz Jerzy Grzegorzewski, powierzają mu robienie spektakli, w czasach, kiedy na ryzyko w teatrze mało kto może sobie pozwolić. Dobrze, że w programie zamieszczono metryczkę z „osiągnięciami” amerykańskiego reżysera, w przeciwnym razie nikt by pewnie nie uwierzył, że ma on coś wspólnego z zawodowym teatrem. Szkoda, że renomowane sceny dają się nabierać na „Amerykanina”, gdy tymczasem w kolejce na debiut sceniczny czeka zapewne wielu naszych młodych reżyserów. Na pewno nie byłoby gorzej.

Nie mam nic przeciwko „amerykanizowaniu” naszego teatru, byle od najlepszej, najbardziej profesjonalnej strony. A przy realizacji Gershwinów to przecież szczególnie ważne. I szczególnie dobry moment na sprowadzanie najlepszych wzorów „amerykańskich”. Stało się wszystko dokładnie na odwrót. Amerykański amator pokazał nad Wisłą wiele z tego, co na profesjonalnej scenie nigdzie na świecie nie powinno się zdarzyć. Pokazał mianowicie całkowitą nieporadność, co akurat jest przeciwieństwem tego wszystkiego, co kojarzy się z amerykańskim teatrem muzycznym.

Szkoda mi Anny Chodakowskiej, Marty Dobosz, Wojciecha Małajkata, Jerzego Zelnika i całego, jak zwykle zdyscyplinowanego zespołu Teatru Studio, bowiem śpiewanie popularnych przebojów George’a i Iry Gershwinów nie było dla nich przyjemnością, a rodzajem dość bezsensownej udręki. Przykro patrzeć, jak ci zdolni aktorzy niepewnie, nieswojo i „obco” czuli się w spektaklu, gdzie banal gonił banal, a amatorszczyzna grafomanie.

Szkoda, bo przecież właśnie w Studio, obok na dużej scenie i foyer, grany jest od lat z wielkim powodzeniem brawurowy spektakl Jerzego Grzegorzewskiego „Usta milczą, dusza śpiewa”. Autentyczny popis teatru, reżysera i aktorów w niezwykłe oryginalnie potraktowanej konwencji „teatru muzycznego”.

Amerykaninowi w Warszawie warto by podpowiedzieć, by więcej w naszym teatrze oglądał, a mniej robił.

ANDRZEJ LIS

AMERYKANIN W WARSZAWIE. Piosenki George’a i Iry Gershwinów. Reżyseria i ruch sceniczny: Michael Hackett. Instrumentacja piosenek: Stanisław Radwan. Scenografia: Krystyna Kampler. Premiera 1 marca 1992 — Teatr Studio w Warszawie.